

AMY PURDY

MICHELLE BURFORD

NA WŁASNYCH
NOGACH



AMY PURDY

MICHELLE BURFORD

NA WŁASNYCH
NOGACH

Tytuł oryginału:
On My Own Two Feet. From Losing My Legs to Learning the Dance of Life

Redaktor prowadząca: Beata Piecychna
Redakcja: Edyta Domańska
Korekta: Dorota Brzostek, Beata Piecychna
Zdjęcie na okładce © Don Cudney
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Skład: skladigrafika@gmail.com

Wszystkie zdjęcia w książce zamieszczono za zgodą autorki,
chyba że podano inaczej.

Copyright © 2014 by Amy Purdy. Published by arrangement
with HarperCollins Publishers. All rights reserved.

Copyright © 2015 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Monika Pianowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Po-
wielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek tech-
niki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego
uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2015
ISBN 978-83-65170-13-2



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Spis treści

Prolog	7
ROZDZIAŁ 1 Obcy	9
ROZDZIAŁ 2 Pustynne marzenia	15
ROZDZIAŁ 3 Ogniska i motylki	25
ROZDZIAŁ 4 Inny świat	37
ROZDZIAŁ 5 Na krawędzi	45
ROZDZIAŁ 6 Po przebudzeniu	57
ROZDZIAŁ 7 Zmiana perspektywy	65
ROZDZIAŁ 8 Nareszcie w domu	77
ROZDZIAŁ 9 Nowy sezon	93
ROZDZIAŁ 10 Dar	101
ROZDZIAŁ 11 Połączenie	113
ROZDZIAŁ 12 Plan akcji	129
ROZDZIAŁ 13 Przemiana	139
ROZDZIAŁ 14 Horyzonty	145
ROZDZIAŁ 15 Wyścig	155
ROZDZIAŁ 16 Nowe role	163
ROZDZIAŁ 17 Soczi	177
ROZDZIAŁ 18 Naturalny rytm	191
Epilog	213
Podziękowania	219

Prolog

*Nawet najdalszą podróż zaczyna się
od pierwszego kroku.*

– LAOZI

„Gdyby twoje życie miało być książką, a ty jej autorem, jak wyglądałaby fabuła?”. To pytanie zadałam sobie w 1999 roku podczas jednego z największych wyzwań, jakim kiedykolwiek przyszło mi stawić czoła. Droga, która mnie do tego pytania zawiodła – i wszystko, czego doświadczyłam na jej końcu – to pewna historia. Poznali ją jedynie moi przyjaciele i rodzina. Aż do teraz.

Wiele lat przed tym, zanim po raz pierwszy zatańczyłam cza-czę w amerykańskiej edycji *Tańca z gwiazdami*, już coś przeczuwałam. Silny wewnętrzny głos głośno mi szeptał: „Masz do zrobienia coś więcej”. Instykt zaprowadził mnie z upalnego Las Vegas, w którym spędziłam całe dzieciństwo, w ośnieżone góry rosyjskiego Soczi. Po drodze targały mną różne emocje. Odczuwałam je na zmianę. Wyczerpanie. Radość. Załamanie. Szczęście. Żal. Niechęć. Euforia. Zwiedziłam miejsca, których nawet taka marzycielka jak ja wcześniej nie była w stanie sobie wyobrazić. Przeżyłam szaloną podróż – a ta książka jest z niej zapisem wspomnień.

To coś więcej niż tylko sprawozdanie. To opowieść o mojej duchowej pielgrzymce. Wciąż ją odbywam – na własnych nogach. Mam nadzieję,

że zapisane na kartach tej książki momenty, które oświetliły mi drogę, skłonią was do podobnych przemyśleń i dojdziecie do wspólnego ze mną wniosku: każdego z nas stać na dużo więcej, niż myślimy. To, co na początku wydaje się okrężną drogą, może się okazać waszym przeznaczeniem. Jeśli tylko spróbujecie zmienić punkt widzenia, przytłaczające wyzwanie stanie się pięknym uśmiechem losu. Sama jestem tego żywym, oddychającym i tańczącym przykładem.

Obecnie ludzie zatrzymują mnie na ulicy i mówią: „Jesteś inspiracją”. Ja zawsze przyjmuję ich słowa z pokorą i jestem wdzięczna za okazany mi podziw. Prawda jest jednak taka, że nie chcę zapewnić innym tylko przelotnej „inspiracji” – zależy mi na tym, żeby moja historia stała się iskrą, która sprowokuje prawdziwą zmianę. Kiedy coś sobie uświadomimy i krzyknijemy: „Eureka!”, to nie będzie miało większego znaczenia, jeśli nie skłoni nas do zrobienia kolejnego kroku. Nie bójcie się marzyć. Przełamcie swoje rzekome słabości i ograniczenia. Zdefiniujcie oczekiwania. Odbijajcie się od przeszkód z odpornością, z którą każdy z nas się urodził. Nie napisałam tej książki dlatego, że chciałam usłyszeć od czytelników: „Wow, co ta dziewczyna przeszła – brawo!”. Dzielę się z wami swoją historią, żebyście zobaczyli, co jest w życiu możliwe. Tu. I teraz. W każdej sekundzie sami możecie stworzyć własną wspaniałą opowieść.

Od zawsze towarzyszyły mi słowa chińskiego filozofa Laozi: „Nawet najdalszą podróż zaczyna się od pierwszego kroku” – i ja to zrobiłam. Mój pierwszy krok. Moje pierwsze potknięcie. Mój pierwszy taniec. Moje pierwsze marzenie.

Obcy

*Dobrze widzi się tylko sercem.
Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.*

– ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY
Las Vegas, Nevada – czerwiec 1999

Mój dzień się skończył. Nareszcie. Od samego rana pracowałam na wymarzonym stanowisku – jako masażystka w światowej klasy salonie spa Canyon Ranch. Mimo że bardzo mi się podobała ta praca i wkładałam w nią wiele pasji, cieszyłam się na nadchodzący wieczór. Dlatego po zakończonej zmianie szybko posprzątałam i uporządkowałam swój pokój. Czekał mnie długi spacer przez ogromny gmach spa, luksusowy hotel Venetian i kasyno aż do parkingu podziemnego, gdzie stał mój samochód. Kiedy tylko wysiadłam z windy na dole, usłyszałam dzwonek telefonu. To był mój szef, Shane.

- Amy, nie pojechałaś jeszcze?
- Hm, nie. Nadal jestem na miejscu. O co chodzi?
- Wobec tego mogłabyś wrócić i wykonać masaż?

Poczułam, jak zaciska mi się gardło. Wyciągnęłam szyję i rozejrzałam się po rzędach zaparkowanych aut, szukając mojego pikapa marki Toyota.

– Mamy jeszcze jednego klienta. Jakimś cudem został pominięty – kontynuował mój menedżer. – Od pewnego czasu czeka w holu, a nie ma kto go wymasować, wszyscy są zajęci.

– Och, naprawdę? – zapytałam, próbując ugrać trochę czasu do namysłu, jak wymigać się od zlecenia. Na chwilę zamilkłam, chrząknęłam i głośno przełknęłam ślinę. – Cóż – wykrztusiłam wreszcie. – Chyba mogę wrócić i się nim zająć. To w końcu tylko godzina dłużej.

Cholera. Powrót na górę był ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. Cały dzień czekałam na koniec zmiany, bo umówiłam się z przyjacielem. Było potwornie gorąco, a ja opadałam z sił. Mimo to zrobiło mi się szkoda człowieka, który czekał na górze już wieczność.

– Będę za pięć minut.

Westchnęłam głęboko i zawróciłam, żeby znowu przemaszerować przez całe kasyno, hotel – całą płataninę korytarzy – i ostatecznie dotrzeć do celu. Do salonu spa.

Wszystkie gabinety tamtego wieczoru były zajęte, dlatego Shane przygotował dla mnie fotel w niedokończonym pomieszczeniu. Spa dopiero co powstało, remont na dobrą sprawę jeszcze trwał. Kiedy wszystko naszykowałam, wyszłam do holu po mojego klienta. Był to starszy mężczyzna, około siedemdziesiątki, o opalonej, pomarszczonej skórze. Miał wydatne kości policzkowe i krystalicznie niebieskie oczy. Wyglądał w połowie na Indianina. Z każdej zmarszczki na jego twarzy dało się wyczytać zapisane na niej doświadczenia.

– Jak się pan miewa? – zapytałam, wyciągając rękę na powitanie.

Wstał i uściśnął moją dłoń – jego była delikatna i ciepła.

– W porządku – odrzekł i uśmiechnął się promiennie. To był tak uroczy uśmiech, że w rezultacie ucieszyłam się z powrotu do pracy dla tak miłego gościa.

– Proszę za mną – powiedziałam, wskazując gabinet. Po wejściu do środka wyrecytowałam formułkę, którą mówię wszystkim moim klientom: – Zaczniemy od leżenia na brzuchu.

Pokazałam wyżłobienie w fotelu – miejsce na twarz – a on tylko kiwnął głową. Potem wyszłam na moment, żeby mógł się przebrać. Czasami zdarza się, że podczas masażu mam wrażenie, jakby skóra danej osoby odrzucała mój dotyk, stawiała opór. Tymczasem ze skórą tego człowieka było wprost przeciwnie. Od samego początku, gdy tylko położyłam dłonie na jego łopatkach, poczułam oddech mężczyzny. Wydawało mi się, że między moimi palcami a jego ciałem nie ma żadnej granicy, że mogę się w nie wtopić. Miał niezwykle ciepłą skórę i bardzo podatne, elastyczne mięśnie.

– Co za wspaniały dotyk – powiedział. – Od razu można powiedzieć, że jesteś intuicyjną osobą.

Cisza.

– Dziękuję – odpowiedziałam wreszcie. Uśmiechnęłam się i dalej w milczeniu masowałam ciało mężczyzny.

Rzadko odzywałam się do klientów. Szanowałam fakt, że wielu z nich przychodziło do spa, żeby po prostu położyć się i zrelaksować w absolutnej ciszy. Jednak ten człowiek najwyraźniej miał ochotę na rozmowę, bo w ciągu pół godziny opowiedział mi najróżniejsze rzeczy o swoim życiu. O rodzinie. O pracy. Właściwie przez cały czas tylko go słuchałam, wtrącając tu i tam zaledwie kilka słów. Chociaż moje odpowiedzi były zdawkowe, mężczyzna coraz bardziej się rozkręcał.

– W swoim życiu dokonasz fascynujących i wielkich rzeczy – powiedział. – Czuję to. Potrafię to odczytać z samej twojej obecności.

Na chwilę mnie zatkało, po czym zapytałam:

– Naprawdę?

– Tak – odrzekł. – Zdajesz się mieć wiele połączeń.

Byłam masażystką już od kilku miesięcy i przez ten czas usłyszałam najrozmaitsze rzeczy – aż trudno uwierzyć, na jakie wyznania zdobywają się ludzie, kiedy czują się rozluźnieni. Dlatego nauczyłam się skupiać tylko na masażu i nie dawać wplątać w rozbudowaną konwersację. Jednak z jakiegoś powodu rozmowa z tym człowiekiem była inna, jego słowa robiły na mnie wrażenie. W pewnym sensie się z nimi utożsamiałam. Do oczu nabiegły mi łzy.

– Twoje życie diametralnie się zmieni – kontynuował. – Jestem tego pewien.

Zamurowało mnie. Przez ostatnie kilka lat nosiłam w sobie trudne do opisanego przeczucie, że stanie się coś wielkiego. Nie miałam pojęcia, skąd ono przyszło, ani nie wiedziałam, czy sygnalizowało coś dobrego czy złego, lecz to wyczekiwanie z każdym dniem stawało się coraz bardziej niecierpliwe i silne. Trudno też było mi określić, czy słowa mężczyzny miały cokolwiek wspólnego z moimi uczuciami, jednak jakaś tajemnicza siła kazała mi lepiej mu się przysłuchiwać. Pochyliłam się i mocniej wtopiłam opuszki palców w plecy tego człowieka. Kilka minut przed końcem sesji odchrząknął i zadał mi przdziwne pytanie:

– Czy kiedykolwiek byłaś po drugiej stronie?

Na moment przestałam masować i delikatnie oparłam dłonie na jego łydkach. Jakkolwiek osobliwe było jego pytanie, chyba wiedziałam, co miał na myśli.

– Nie – odparłam w końcu. – Ale przeczuwam, że coś wydarzy się w moim życiu, tylko jeszcze nie wiem, co takiego.

– Cóż – odpowiedział, poprawiając swoje położenie na fotelu. – Ja przekroczyłem tę granicę, gdy byłem młody.

Potem wyjaśnił mi, że jako nastolatek wpadł do sadzawki przy młynie i prawie utonął. Jacyś ludzie wyciągnęli go z wody i próbowali reanimować.

– Przestałem oddychać – opowiadał. – Przeszedłem na drugą stronę. – Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. – Ale kiedy wróciłem – odezwał się znów – moje życie się zmieniło. To na powierzchni całkowicie różniło się od tego w głębi. Zacząłem żyć na zupełnie innym poziomie.

W tej chwili kilka kropelek na moich dolnych powiekach zamieniło się w strumienie łez, które spłynęły mi po policzkach. Próbowałam się opanować, ale płakałam prosto na nogi tego człowieka. Ta reakcja mnie zaskoczyła – nigdy przedtem nie dałam się ponieść emocjom podczas masażu. Nigdy.

– Myślę, że coś podobnego pewnego dnia spotka i ciebie. – Odetchnął na tyle głęboko, że mogłam to usłyszeć. – Ale kiedy to nastąpi, nie bój się.

Kiwnęłam głową. Nie powiedziałam ani słowa. Parę minut później zakończyliśmy sesję. Kiedy mężczyzna się przebrał, wróciłam po niego, żeby odprowadzić go do wyjścia. Zazwyczaj nie przytulałam swoich klientów, jednak – ponieważ między nami zrodziła się tak niezwykła więź – objęliśmy się. To chyba było w porządku.

Tamtego wieczoru nie dołączyłam już do przyjaciół. Wślizgnęłam się na przednie siedzenie mojego samochodu i w zupełnej ciszy pojechałam do domu. Gdy skręcałam na błotnistą drogę wiodącą do mojego podwórka, powtórzyłam sobie w głowie całą rozmowę. Słowa mężczyzny odbijały się echem po pustyni Vegas: „Nie bój się. Nie bój się. Nie bój się”. Jak tylko znalazłam się w swoim pokoju, zapisałam je w pamiętniku.

Kiedy ma się dziewiętnaście lat, wszystko wydaje się możliwe. Ja miałam przed sobą całe życie. Byłam silna i niezależna. Miałam pracę, którą uwielbiałam, i zarabiałam niemałe pieniądze. Planowałam je odkładać, żeby w przyszłości móc podróżować po świecie. Pomyśl, że kiedykolwiek miałabym się czegoś bać – cokolwiek miałyby to być

i w jakichkolwiek okolicznościach przyjść – nigdy nie przyszedł mi do głowy. Na tamtym etapie moimi jedynymi zmartwieniami były nieogolone nogi i parę kilogramów, których musiałam się pozbyć. To byłam ja – stałam z uniesioną głową na starcie swojej wielkiej podróży i doskonale wiedziałam, w jakim kierunku zmierzam. Nie miałam pojęcia, że pewnego upalnego czerwcowego wieczoru – i to w zagadkowej rozmowie z pewnym obcym mężczyzną – część mojej historii została już zapisana. Nasze spotkanie było pierwszym rozdziałem.

Pustynne marzenia

Proszę tylko o wolność. Motyle są wolne.

– KAROL DICKENS

Zawsze miałam bujną wyobraźnię. W wieku pięciu lat zgarnęłam wszystkie swoje lalki Barbie – które dzięki moim zabiegom miały fryzury jak Madonna w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku – i usiadłam z nimi w cieniu drzewa granatu rosnącego na podwórzu. Za pnieniem spostrzegłam małe białe drzwi.

– Jak myślicie, dokąd one prowadzą? – zapytałam lalki. Teraz jestem pewna, że można było dostać się nimi do ogrodu sąsiadów. Jednak wtedy w moich oczach to było sekretne przejście do magicznego królestwa. „Założę się, że żyje tam Alicja z Krainy Czarów”, pomyślałam. Taką byłam marzycielką.

Moja rodzina mieszkała w trzypokojowym domu przy Bonita Avenue. Kiedy mówisz, że jesteś z Vegas, ludzie od razu wyobrażają sobie, że dorastałeś otoczony światłami ulicy Strip. W moim przypadku było inaczej. Co prawda nie mieliśmy daleko do niej, ale nasze najbliższe sąsiedztwo, czyli stare Vegas, wyglądało jak z innego świata: trawiaste podwórka, ogromne drzewa, parki. W podobnych warunkach wychował się mój tata. Jego rodzice – babcia i dziadek Purdy – mieszkali dziesięć minut drogi od nas.

Nie wiedziałam wiele na temat naszych sąsiadów. Taka jest kultura w Vegas: ludzie żyją tuż obok siebie, lecz prawie ze sobą nie rozmawiają. Zazwyczaj bawiłam się z moją niecałe dwa lata starszą siostrą Crystal. Miałam też rodzinę w mieście. Rodzice są najstarsi z trójki rodzeństwa. Mama Sheri ma dwie siostry: Cindy i Debbie, a tata Stef – brata Stana i siostrę Cindy. Tak, w naszej rodzinie są dwie ciocie Cindy. Dorastałam więc wspólnie z kuzynami i kuzynkami, którzy byli dla mnie właściwie jak rodzeństwo: Michelle (najstarszym dzieckiem cioci Debbie, kuzynką młodszą ode mnie cztery lata; to z nią spędzałam najwięcej czasu), Jackiem i Shannon (również dziećmi cioci Debbie) i wreszcie dużo ode mnie młodszą Jessicą, jedyną córką cioci Cindy od strony mamy. Wujek Stan, który kiedyś pracował jako ochroniarz celebrytów, takich jak Michael Jackson, Will Smith czy Vin Diesel, nie doczekał się potomków. Podobnie jak Cindy – siostra taty.

Nasz dom wypełniała muzyka. Rodzice mieli pokaźną kolekcję winyli, głównie płyt z klasycznym rockiem (Queen, Led Zeppelin, Janis Joplin, The Eagles) i country (George Strait, Johnny Cash, Merle Haggard, Willie Nelson i chyba wszystkie możliwe piosenki The Judds). Ojciec często puszczał ścieżkę dźwiękową do *Wielkiego chłodu*, tańczył i wygłupiał się przy *Heard It Through The Grapevine* albo włączał *My Girl* i śpiewał dla mnie i Crystal. Nie miał wybitnego wokalu, raczej celowo próbował nas zawstydzić, kiedy zawoził nas do szkoły niebieskim bronco i podkręcał na cały regulator radio, z którego wydobywały się dźwięki *My Girl*. Potem wychodził z auta i głośno śpiewał. Crystal nie mogła tego znieść, ja byłam rozbawiona.

Gdy nie opiekowali się nami rodzice mamy – babcia i dziadek Campbellowie – spędzałyśmy sporo czasu z ciocią Debbie. Swego czasu mieszkała w Vail w Kolorado, gdzie poznała naszego wujka Richa.

– Jak było w Vail? – zawsze ją pytałam.

– Pięknie – odpowiadała, uśmiechając się na samo wspomnienie. – Cały dzień spędzaliśmy na dworze, jeździliśmy na nartach. Potem wychodziło się do centrum, żeby trochę się rozerwać. To było miasteczko, w którym wszyscy się znali.

Słuchałam jak urzeczona. „Jak by to było mieszkać wysoko w górach i cały dzień bawić się w śniegu?”. Ciocia Debbie żyła też w Aspen w Kolorado.

– Raz wyszłam pobiegać i zobaczyłam niedźwiedzia na środku drogi!

Fascynujące. Kiedy ciocia i wujek opuścili Vail, przeprowadzili się na trochę do Australii.

– Kopię tunel do cioci Debbie, żeby dostać się na drugą stronę świata – mówiłam do mamy, bawiąc się w piaskownicy.

Ostatecznie wrócili do Vegas. Ciocia rozpoczęła pracę jako pielęgniarka, a wujek Rich był wziętym architektem. Wiele wartym, więc i wiele zarabiał. Mieli wielki dom, wielki fortepian i wielki – serio – basen. Crystal, moi kuzyni i ja spędzaliśmy w tym basenie długie godziny, bawiąc się w rekina (Jack, jeden z nielicznych chłopców w całej rodzinie, zawsze dostawał fuchę rekina i próbował upolować resztę) i marco polo. Poza relaksem w wodzie, latem w Vegas nie ma nic ciekawszego do roboty na zewnątrz. Jest po prostu cholernie gorąco – prawie pięćdziesiąt stopni, a czasem i więcej.

W miarę jak zbliżała się jesień, stawałam się coraz bardziej podekscytowana powrotem do szkoły. Chodziłam do tej samej podstawówki, której absolwentem był mój ojciec – imienia Johna S. Parka – a moimi ulubionymi przedmiotami były ścisłe. Zawsze fascynowały mnie różne mechanizmy i procesy (jako dziecko mogłam godzinami przesiadywać w garażu taty, próbując wszystkich narzędzi z jego skrzynki).

– Co byś chciała robić, gdy dorosniesz? – pytał mnie często dziadek Purdy.

– Będę astronomem albo weterynarzem! – oznajmiałam z dumą.

Kiedy rodzice dostrzegli moje zainteresowania, wykupili dla mnie prenumeratę „National Geographic”. Przez sześć lat zbierałam każdy kolejny numer. Później, gdy otwierałam jedną z szafek – bum! – tuziny egzemplarzy magazynu wysypywały mi się na głowę. Przez całe popołudnia wertowałam strony i podziwiałam kolorowe fotografie, zastanawiając się, jak by to było podczas wizyty w Afryce, Nowej Zelandii, Japonii, na Alasce – gdziekolwiek poza piaszczystą Nevadą. Nigdy nie czułam przynależności do rodzinnego stanu. Było tam za gorąco, zbyt zwyczajnie i brązowo – za nudno.

Innym moim ulubionym zajęciem w szkole była plastyka. Kiedy zaczynałam malować, odpływałam myślami tak daleko, że w ogóle nie wiedziałam, ile czasu minęło.

– Amy, to jest fantastyczne – zwykła mówić pani Bowman, moja nauczycielka w czwartej klasie, kiedy kończyłam swoje „dzieło”. Była cudowną kobietą. Praktyczną, a jednocześnie czarującą. Nigdy takiej

nie spotkałam. Pani Bowman miała córkę mniej więcej w moim wieku i wspólnie z kilkoma dziećmi ze szkoły czasami u nich nocowałam.

– Witaj, moja droga! – wołała zawsze na powitanie.

Szczerze mówiąc, to z nią, a nie z jej córką, zaprzyjaźniłam się bardziej. Pani Bowman należała do bardzo kreatywnych osób. Własnoręcznie przędła wełnę, a potem robiła z niej na drutach narzuty i swetry. Hodowała kozy. I pochodziła z Michigan, co brzmiało dla mnie arcyciekawie – prawdopodobnie dlatego, że nie była z Nevady.

* * *

Żadne z moich rodziców nie przyszło na świat w Vegas. Ojciec urodził się w Idaho Falls, a mama wywodzi się z Grand Junction w Kolorado. Tato miał sześć lat, gdy jego rodzice przeprowadzili się do Vegas, mama – dziewięć, więc właściwie i tak oboje wychowali się w Nevadzie. Nawet jako dziecko mama była ułożona i rozsądna – typowa grzeczna dziewczynka. Wcześniej postanowiła, że w przyszłości chce być matką i panią domu.

Z kolei ojciec to urodzony przywódca – otwarty, towarzyski, przystojny i pewny siebie. Po szkole średniej trafił do Wietnamu i został wcielony do legendarnego batalionu Marines 1/9, zwanego The Walking Dead (Żywe Trupy), ponieważ przeżyła tylko garstka należących do niego żołnierzy. W dżungli ojciec dwukrotnie (!) zapadł na malarię. Za drugim razem był w tak krytycznym stanie, że został odesłany do domu. W Nevadzie odmówił przyjęcia przywilejów weterana. To idealny przykład zachowania człowieka, którym wciąż jest mój tata – samodzielnego i niezależnego. Tym się szczyci. Dopiero po latach zrozumiałam, jaki wpływ musiały wywrzeć na niego reakcje ludzi przeciwnych wojnie.

Po powrocie z Wietnamu ojciec przestawił się na tryb imprezowy. Zapusczył gęstą brązową grzywę aż do ramion i wskrzeszał swoje życie towarzyskie w Vegas i okolicach. Pewnego wiosennego wieczoru gościł na weselu przyjaciela. Tak się złożyło, że na ślub i przyjęcie zostały zaproszone także moja mama oraz ciocia Debbie. Tata kumplował się z panem młodym, mama z kolei z panną młodą. Ojciec od razu przypadł mamie do gustu, jednak jemu z początku podobała się Debbie. Kiedy potem zadzwonił do domu sióstr i chciał rozmawiać z Debbie (historia w skrócie – chciał przeprosić za to, że podczas powrotu z wesela

zwymiotował w ich samochodzie), odebrała moja mama i... tak to się zaczęło. Jeszcze w tej samej rozmowie tato zaprosił ją na randkę, zostali parą, a w trzy miesiące po pierwszym spotkaniu na ślubie przyjaciół zaręczyli się. Niewiele później sami zostali małżeństwem.

Podczas pobytu w Lake Tahoe moi rodzice nie byli hipisami, chociaż zdecydowanie tak wyglądali. W salonie wisi jeszcze wyblakła fotografia, na której mama ma na sobie koszulkę z króliczego futra, dzwony i okulary przeciwsłoneczne, a ojciec stoi obok niej w rozpiętej koszuli, podobnych džinsach ze skórzanym paskiem i kowbojskim kapeluszu. Za każdym razem, kiedy patrzę na to zdjęcie, wyobrażam sobie ich dwoje wysoko w górach, zakochanych do szaleństwa i wiodących beztrudne życie. Sama o takim kiedyś marzyłam.

Zanim jeszcze w 1978 roku na świat przyszła Crystal, rodzice przeprowadzili się z powrotem do Vegas i kupili dom przy Bonita Avenue. Rok później, dokładnie 7 listopada, nastąpiło moje wielkie wejście.

– W tamtych czasach lekarze próbowali rozpoznać płeć dziecka na podstawie bicia jego serca – wspominała mama.

Podobno moje serce było tak mocno, że lekarze byli pewni, iż urodzi się chłopiec!

– I tak już wcześniej zdecydowałam, czy to będzie chłopak czy dziewczynka – mówiła mama. – I postanowiłam, że nazwę dziecko Lane, ponieważ tak brzmi drugie imię mojego męża.

Jednak, gdy po raz pierwszy wzięła mnie w ramiona, doszła do wniosku, że wcale nie wyglądam na Lane'a. „Amy” pasowało do mnie zdecydowanie bardziej.

Odkąd tylko sięgamy z Crystal pamięcią, rodzice zawsze pracowali. Ciężko. Kiedy zaczęłam naukę w podstawówce, mama – kobieta o ślicznych zielonych oczach, pięknej skórze, mogąca pochwalić się idealną figurą „klepsydry” z wąską talią – zajmowała stanowisko rejestratorki na szpitalnym oddziale wypadkowym. Później, jak miałam około dziesięciu lat, przeniosła się do agencji ubezpieczeniowej. Ojciec przez parę lat mojego wczesnego dzieciństwa był kierownikiem stołów w kasynie w hotelu New Frontier. Nadzorował gry podczas nocnych zmian.

– Cześć, tato! – zwykłam wrzeszczeć, biegnąc do niego, żeby go przytulić, kiedy wracał do domu.

Tata był wysokim i szczupłym mężczyzną o ciemnych, pofalowanych włosach, wydatnych kościach policzkowych i oczach w kolorze nieba. Innymi słowy – najprzystojniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek

widziałam. Po pracy w kasynie jego skórzana kurtka cała była przesiąknięta dymem z papierosów.

– Chodź tu, Amers! – mówił, łapiąc mnie w swoje silne ramiona. Zawsze, gdy mnie całował w policzki, łaskotał wąsami.

Amers – tak mnie właśnie nazywał. Pozostali członkowie rodziny wymyślili mi inny przydomek: Amelia. Zaczęli tak na mnie wołać po tym, jak mama zaplotła mi dwa warkocze, które potem upięła na czubku głowy.

– Wyglądasz jak Amelia! – powiedziała babcia. Nie miałam pojęcia, dlaczego. Jednak z jakiegoś powodu ta ksywka idealnie do mnie pasowała. Lubiłam ją, bo podobnie jak pierwsza kobieta, która sama przeleciała samolotem nad Atlantykiem, Amelia Earhart, byłam wolnym duchem. Twórczym. Żądnym przygód. I zawsze się zastanawiałam, jakie inne światy istnieją poza Vegas.

Ojciec w końcu zrezygnował z pracy w kasynie i został dyrektorem wykonawczym Helldorado, największego rodeo po zachodniej stronie Missisipi. Dziadek Ralph Purdy robił kiedyś w swoim życiu to samo. Podczas corocznej imprezy „Dni Helldorado” tata nadzorował rodeo i paradę, dlatego całą rodziną jechaliśmy wziąć udział w festynie.

– Jesteś gotowa, kowbojko? – pytał.

– Jestem! – wykrzykiwałam, zeskakując z tapczanu.

Rodzice ubierali mnie i Crystal w kowbojskie kapelusze i sukienki. Mój był z pewnością zawsze przekrzywiony – w końcu trudno było go utrzymać na dwóch upiętych „warkoczach Amelii”.

Moja mama była Supermamą. Dosłownie. Mimo że praca pochłaniała jej mnóstwo czasu, to wstawała codziennie o piątej rano i ćwiczyła na bieżni w garażu, słuchając *Another One Bites The Dust* Queen albo *Beat It* Michaela Jacksona. Miała na sobie dziwaczny strój gimnastyczny: purpurowe rajstopy, różowy trykot ze stringami przewiązany paskiem, niebieskie ocieplacze na nogi, do tego związane włosy i opaskę na czole. Każdego wieczoru przygotowywała dla nas wszystkich posiłki i zazwyczaj jedliśmy wspólne obiady. Były przepyszne. Mama zawsze potrafiła znaleźć sposób, żebyśmy z Crystal poczuły się wyjątkowe.

– Leje deszcz! – oznajmiała, wpadając do mojego pokoju, kiedy poranne niebo spowijały ciemnoszare chmury.

To zdanie wystarczało, żeby zaczęła mi ciec ślinka, bo doskonale wiedziałam, co się święci. Kiedykolwiek pogoda była deszczowa, mama piekła nam czekoladowe ciasteczka. Do dziś uwielbiam dżdżyste dni

– niemal czuję wtedy unoszący się w powietrzu aromat czekolady. W mojej rodzinie sporo się gotowało i piekło. Dzięki mamie, ciociom i babci stałam się mistrzynią w wyrabianiu placków, ciast i ciasteczek. Nawet teraz w deszczowe dni piekę z siostrą czekoladowe ciastka. To stało się już tradycją.

Jako dziecko chodziłam do kościoła. Rodzice taty byli – jak to niektórzy nazywają – Jack Mormon, czyli mormonami, którzy niekoniecznie przestrzegają wszystkich zasad dotyczących wiary i stylu życia. Choć dziadkowie nie należeli do zbyt pobożnych, regularnie uczęszczali na nabożeństwa. Kiedy ja i Crystal byłyśmy małe, w niektóre niedziele zabierali nas ze sobą do kościoła. Rodzice nas do tego zachęcali przynajmniej z trzech powodów: żebyśmy spędzały z dziadkiem i babcią więcej czasu, żeby zakorzenić w nas moralność i dać nam jakieś duchowe podstawy oraz żeby mieć od nas dzień wolnego.

Nie znosiłam chodzić na nabożeństwa. Stary kanciasty budynek kościoła śmierdział kurzem. Wszystko wewnątrz było bure i monotonne: beżowe dywany, na ścianach kolory bez wyrazu. Totalna nuda. Pieśni śpiewano w rytm melodii, która wydobywała się z rur staroświeckich organów. Może kojarzycie klaszczące zespoły i ludzi uderzających w tamburyny, na jakich można trafić u baptystów? Cóż, msze w kościele moich dziadków stanowiły dokładne przeciwieństwo takich scenerii. Za każdym razem czułam się jak na pogrzebie! Żeby przetrwać dwie godziny nabożeństwa, które przypominało nużący film, musiałam cały czas myśleć o czymś przyjemnym. Jedynym plusem tych niedzielnych wypraw były spotkania z dziadkami, których całym sercem kochałam.

– Wszystko w porządku, kochanie? – szeptała babcia Purdy, rudowłosa kobieta o porcelanowej, „irlandzkiej” karnacji, jak moja.

Przytakiwałam i zaczynałam się rozglądać za znakami, które zwiastowałyby rychły koniec mszy. Ale wiecie, co było w tym najdziwniejsze? Mimo że zawsze miałam opory przed pójściem do kościoła, to po wyjściu z niego czułam się jakoś lepiej. Otaczający mnie ludzie byli wyjątkowo życzliwi, czułam wszechobecną miłość.

Wiare mormońską można przyjąć po ukończeniu ośmiu lat. Rodzice dali nam wybór.

– Crystal, chcesz zostać ochrzczona? – zapytał tata moją siostrę tuż po jej ósmym urodzinach.

– Tak – odrzekła bez chwili wahania. – Chcę.

Kiedy przyszła moja kolej, ojciec zadał mi to samo pytanie.

– Jest tyle różnych religii – powiedziałam – więc skąd mam wiedzieć, którą powinnam wybrać? Znam tylko tę jedną.

W szkole miałam styczność z dziećmi wywodzącymi się z wielu tradycji: jedne wychowywały się w chrześcijańskich rodzinach, inne w muzułmańskich czy hinduistycznych. Nawet w tak młodym wieku wiedziałam, że znajduję się w małej bańce, i nie chciałam powierzać czemuś swojego życia, zanim nie poznałam innych możliwości. Nie miałam zamiaru godzić się na coś w ciemno i dać się usidlić. Wciąż tak mam.

– Jesteś moim małym motylkiem – mówiła mi mama. – Przelatujesz z kwiatka na kwiatek.

Miała rację. Dorastając, ciągle myślałam o byciu wolną. Chciałam uciec z pustynnego Vegas i zacząć odkrywać światy wspanialsze nawet od tych, które istniały tylko w mojej wyobraźni. Marzyłam o tym, żeby móc opowiadać innym fascynujące historie, jak moje cioce. Pragnęłam dać się porwać falom, poznawać. Na własnej skórze doświadczyłam tego, że wiatr może cię ponieść – lecz niekoniecznie tam, gdzie planujesz trafić.

* * *

Moja rodzina lubiła spędzać czas na łonie przyrody. Przynajmniej kilka razy w ciągu lata tato zabierał nas samochodem na biwak w górach (nadal oddałabym królestwo za zapach sosen i klimat przy trzaskającym ognisku), narty wodne w Lake Mead, surfing w Kalifornii albo na śnieżne szaleństwo w Mount Charleston. Oboje rodzice byli zapalonymi narciarzami i chcieli mnie i moją siostrę zarazić swoją pasją, dlatego sama też często miałam narty na nogach. Ulubione miejsce taty znajdowało się trzy godziny drogi od naszego domu, w Brian Head Resort w południowym Utah. Gdy byłam w podstawówce, ojciec uczył mnie jeździć na nartach po śniegu i na nartach wodnych, jednak nawet po niezliczonych lekcjach nie złapałam bakcyła. Co więcej, ciągle trudno mi było utrzymać równowagę. Podczas zjazdu po stoku moje narty potrafiły ni z tego, ni z owego skrzyżować się ze sobą, a ja padałam jak długa i turlałam się z górki. Tak właśnie było – spleciona jak precel, z przemarzniętymi dłońmi i pośladkami oraz soplami łez na policzkach.

– Amy, weź się w garść! – krzyczał z góry ojciec niczym dowódca w wojsku.

Co za kompromitacja. Któregoś razu, zanim zdążyłam wygramolić się z zasy i ukrócić swoje cierpienia, kątem oka dostrzegłam coś intrygującego. Szszszszuuu! Tuż obok mnie dzieciak przemknął na desce snowboardowej. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie widziałam. Jazda na snowboardzie wydawała się łatwa, przyjemna, jakby w ogóle nie wymagała wysiłku – najfajniejsza rzecz na świecie! Chwilę później podniosłam głowę i zawołałam do taty:

– Do diabła z nartami, chcę jeździć na desce!

Ojciec zmarszczył brwi z niezadowoleniem i pokręcił głową:

– Nie dasz rady nauczyć się jeździć na snowboardzie, dopóki nie opamięnasz jazdy na nartach.

Bardzo się mylił.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WydawnictwoKobiece.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Kolejowa 12E/3
15-701 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059